

Stefan pewną ręką prowadził samochód, trochę nawet przesadzając z prędkością. Cóż, tak jeździł zawsze. Był doświadczonym kierowcą, a jego nowa, elegancka „Oktawia” dobrze trzymała się drogi. Siedziałem obok niego na przednim fotelu. Chciało mi się spać, chociaż minęło już południe a ja przecież i tak drzemałem przez większą część drogi.

Wczoraj, kiedy tuż po południu zjawił się u nas i próbował mnie przekonywać do tej wyprawy, początkowo nawet nie chciałem go słuchać. Odmówiłem mu z mety, tak jak zawsze dotąd. Bez tłumaczenia się, bez wyjaśnień i z pełnym przekonaniem. Nie chciałem jechać i już. Nie mogłem. Jednak tym razem nie odpuścił. Zmiękczał mnie tak długo, aż ustąpiłem.

Dobrze, że Marta była w pracy, kiedy zaczęliśmy rozmowę na ten temat, bo kiedy wspomniał o wyjeździe, to zmiana mojego nastroju była tak wyraźna, że zaczął otwarcie pytać czy kogoś tam nie pobiłem, albo nie okradłem, bo jak stwierdził, lęk przebijał się przez moje słowa. Jednak ze sztucznym spokojem odpowiadałem mu, iż nic nikomu nie jestem winien, nikt tam na mnie z siekierą nie czeka, ale to tylko pogorszyło moją sytuację. Zaczął mnie przekonywać z jeszcze większym zapalem..

Przerwaliśmy dyskusję kiedy Marta wróciła do domu. Posiedzieliśmy jakiś czas we trójkę, a wtedy Stefan tylko mimochodem wspomniał o czekającej go podróży. I zapytał ją, czy nie ma nic przeciwko temu, abym mu towarzyszył.

Marta tylko wykrzywiła usta i obojętnie oznajmiła, że w zasadzie jej to nie interesuje. I tak rzadko bywam w domu, jeszcze rzadziej cokolwiek robię, więc nawet by nie zauważyła mojej nieobecności. I że w domu doskonale poradzi sobie sama. Potem pokręciła się jeszcze przez kilkanaście minut, przygotowała nam jakieś przekąski i mało dyskretnie wyszła, obiecując tylko Stefanowi, że wieczorem wróci, aby przygotować kolację.

My natomiast kontynuowaliśmy rozmowę o wyjeździe. Alkohol podniósł poziom naszej dyskusji na znacznie głośniejszy szczebel, chociaż Stefan pił bardzo oszczędnie. Ja kontrolowałem się mniej i nie spostrzegłem jak sprytnie pokierował rozmową. Zasadniczy temat porzucił. Powspominaliśmy natomiast stare czasy, kiedy budował dom, a ja jeździłem do niego i razem rozwiązywaliśmy węzłowe problemy budowy, omówiliśmy też nasze doświadczenia zawodowe, mimo że odbywało się to już wiele razy i nigdy do niczego nie prowadziło. W głównym zaś temacie do żadnej konkluzji nie doszło. Stefan nie naciskał wtedy, jakby nie chciał mnie zrazić.

A kiedy Marta wróciła i znowu posiedziała z nami przez godzinkę, ten temat nie istniał zupełnie. Rozmawialiśmy tylko o rodzinie, o dzieciach i tym podobnych sprawach. Wreszcie Marta poszła spać, a my znowu zostaliśmy we dwóch.

Wtedy też, po kilku dobrych godzinach, Stefanowi udało się wykorzystać moje poalkoholowe osłabienie i dobrał się do jakichś warstw mojej ambicji czy też poruszył we mnie jakąś czułą strunę. Nawet nie bardzo wiem jak i dlaczego, ale nieopatrznie obiecałem mu, że z nim pojadę. Dziękował mi wtedy za wsparcie i wypił ze mną chyba dwa kieliszki, bo dotąd oszczędzał się niezmiernie, mając przed sobą długą drogę i właściwie to zaraz potem również poszliśmy spać.

Długo nie mogłem zasnąć. To wszystko o czym powoli zapominałem, co próbowałem przez lata wypchnąć ze swojej pamięci, teraz wróciło i to wyraźnie. Leżąc w pościeli z zamkniętymi oczami, w ciemności, widziałem jezioro, a w nim pływającą Dorotkę... i klon... i stół pod lipą, na którym leży naga... i naszą sypialnię... i saunę... i wiele, wiele innych miejsc... Czy dam radę zmierzyć się z tymi widokami? Czy znowu nie zwariuję? Miałem wątpliwości i byłem jakiś taki rozdwojony...

Wiedziałem, że tam jej nie znajdę. Ani najmniejszych jej śladów, czy też tego oszałamiającego zapachu.

Nie potrafiłem go sobie przypomnieć, jednak byłem pewien, że poznałbym go nawet na końcu świata. Dlatego z jednej strony panicznie się bałem, że wszystko wróci. Wrócą te lęki, ten wielki zawód, tamta gorycz, kiedy zostawiła mnie tak bezwzględnie, jak odrzuca się opakowanie po zjedzonych ciastkach, bo w jednej chwili stało się śmieciem. Przestało być potrzebne. A z drugiej strony... przecież nadal ją kochałem! Gdybym ją spotkał i kiwnęłaby palcem, to natychmiast byłbym gotów. Siebie nie musiałem oszukiwać. Wiele razy zasypiałem tylko dlatego, że nie myślałem o niczym więcej, tylko o niej, wspominając jezioro... saunę... klon... I teraz jednak korciło mnie, żeby zmierzyć się z tymi miejscami jeszcze raz. Jak wyglądają bez Dorotki? Przecież tak właściwie, to tego nie wiem. Ja ich bez niej jeszcze nie widziałem! Może wreszcie uwolnię się od tych niezapomnianych widoków i od niej...?

- Ale jesteś rozmowny, niech cię szlag! – usłyszałem gniewny głos Stefana. Uchyliłem powiekę jednego oka.

- Słuchaj, nie podpisywaliśmy umowy na rozmowy – odpysknąłem mu niezbyt zachęcająco. – Nie chce mi się gadać.

- Wkurzasz mnie i tyle! – usłyszałem.

- Daj mi spokój! – odwrąknąłem, sadowiąc się wygodniej, a właściwie to układając się w fotelu, po demonstracyjnym opuszczeniu oparcia do pozycji na pół leżącej.

Stefan, wyraźnie obrażony, zamilkł, a ja znowu wróciłem do wspomnień. A tak starałem się tego unikać...

Wyjechaliśmy dzisiaj dość wcześnie, bo w okolicach godziny 14-tej mieliśmy zameldować się w Pokrzywnie. Boże, ile to już lat ja tam nie byłem! Szybko przeleciałem ten okres wspomnieniami. Tak... to niemal dokładnie osiem lat temu. Osiem lat minęło od czasu, kiedy spędzałem tam wakacje z Dorotką. I od tamtego lata nigdy nie dałem namówić się Stefanowi na wyjazd w to miejsce. Najzwyczajniej bałem się powrotu do tamtego domu, do lipy, tamtego jeziora i krajobrazów...

Tak jak i kiedyś, przez wiele lat, nie potrafiłem pojechać do Moskwy, po historii z Leną. Jakieś fatum mnie prześladowało. Na samą myśl o pobycie w tym otoczeniu, gdzie najpierw było mi tak bardzo dobrze, później czułem tylko strach i niepewność. I nie potrafiłem tego w sobie zwalczyć, ani przełamać, a tym bardziej zapomnieć. Dopiero upływ czasu łagodził moje lęki. Obie moje wielkie miłosne przygody, i ta z Leną, i ta z Dorotą, zakończyły się nagłym krachem, chociaż ta moskiewska trwała przecież znacznie dłużej, bo niemal cztery lata. I niewiele brakowało, żebym po niej wylądował w wariatkowie albo przynajmniej zapił się na amen.

Historię z Dorotką przeżyłem trochę spokojniej, bo byłem już znacznie starszy i co tu mówić, pewnie też trochę się uodporniłem. Może też dlatego, że rozstawaliśmy się w bardziej cywilizowany sposób. Ale i tak przeżyłem to paskudnie.

Tym razem nie uciekałem w alkohol, wiedziałem, że to i tak nic nie da. Jednak długo nie znajdowałem recepty na normalne życie. Zresztą, czy w ogóle to moje życie jest teraz normalne? Nie byłem już taki otwarty, ani wesoły jak dawniej. W towarzystwie starych znajomych najczęściej milczałem i musiałem zmuszać się na skupieniu uwagi chociażby na tym co do mnie mówili. Brali to za zadzieranie nosa, ale mój Boże! Co ja mogłem zadzierać?

Pracy nie znalazłem, nikt nie chciał mnie zatrudnić, więc w końcu nie miałem wyjścia. Wykorzystałem swoją znajomość programowania obrabiarek i założyłem własną firmę, żeby chociaż zarobić na chleb. No i tylko na ten chleb z tego miałem. Zupełnie nie udawało mi się rozwinąć skrzydeł. Zleceń przybywało niewiele, ale przynajmniej miałem zajęcie i mogłem powoli zapominać.

Marta, kiedy wróciłem z Pokrzywna, nie była taka cierpliwa, jak po moim powrocie z Moskwy. Bez

trudu odgadła swoją kobiecą intuicją, że na tych wakacjach coś się wydarzyło. I chociaż znowu o nic nie pytała, to tym razem nie zamierzała pokornie czekać, aż dojdę do siebie. Natychmiast postawiła mi ultimatum, że albo biorę się za wypełnianie swoich obowiązków wobec rodziny, albo mam się wyprowadzić. Może także i to trochę mnie otrzeźwiło, dlatego wbrew przemożnej niechęci do robienia czegokolwiek, zmusiłem się wtedy do założenia firmy oraz próbowałem jakoś, w miarę normalnie, funkcjonować.

Ale ta droga była strasznie ciernista i jeszcze w dodatku pod górkę. Kryzys trwał na całego. Moje wcześniejsze kontakty na niewiele się przydawały. Słyszałem wciąż wiele obietnic i strasznie mało konkretów. Przyszło sprzedawać się za grosze, aby tylko przeżyć. Cóż, piękne chwile przeminęły jak sen, a teraz miałem tylko skrzeczącą rzeczywistość. Szarą, jak niemal każdy mój dzień. Dzisiejszy też, pomimo tego, że słońce świeciło pełnym blaskiem.

To, że zacząłem jakoś funkcjonować na rynku pracy, zupełnie nie poprawiło moich relacji z Martą. Nie da się ukryć, nasze stosunki dosięgły dna. Jeśli rozmawialiśmy, to w zasadzie niemal tylko oficjalnie o codziennych problemach typu: kto ma ugotować obiad, co jest do naprawy albo remontu, o tym, że Joasia potrzebuje pieniędzy, kogo jutro wieczór nie będzie... A i to rzadko, bo często żadne z nas nie uprzedzało o swojej nieobecności w domu. I w zasadzie to wszystko.

Cały czas sypialiśmy oddzielnie, a każde z nas miało swoje własne, codzienne problemy, którymi nie dzieliło się z drugim. Czasem wprawdzie chadzaliśmy razem na rzadkie rodzinne uroczystości, ale to nic nie dawało i niczego nie poprawiało. Przeciwnie, po alkoholu często dogryzaliśmy sobie przy stole i psuliśmy ogólną atmosferę spotkania. Wprawdzie po kilku takich zgrzytach zawarliśmy jednak pakt, że na zewnątrz nie będziemy się obnosić ze swoimi problemami, ale w domu było wciąż to samo. Tu funkcjonowaliśmy w różnych pomieszczeniach.

Tyle, że dalsza rodzina odetchnęła. Wszystkim się wydawało, że nasz kryzys jest zażegnany, bo zachowywaliśmy się wobec siebie albo milcząco, albo poprawnie. Nikt nie wiedział, że wersal obowiązywał tylko do czasu zamknięcia drzwi. A później nikt nas już nie słuchał.

I nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może się jeszcze zmienić. Marta wiele razy proponowała mi rozwód. Jednak zbywałem to wzruszeniem ramion. Jak chce rozwodu, to niech sama składa pozew! Mnie się nie chciało. Po prostu. Bo rozwód nie byłby problemem. Tylko co potem?

Mieszkanie mieliśmy wspólne. Jak je podzielić? Sprzedać? Bardzo chętnie! Tylko nie było amatorów do kupna! Bo mieszkanie było za duże jak na te czasy. Marta zresztą miała moje notarialne upoważnienie do działania również w moim imieniu. Podpisałem je wtedy, kiedy jeszcze często wyjeżdżałem za granicę, aby mogła działać operatywnie. Ale i to na nic się nie przydało. Niby kilka razy byli potencjalni klienci, tyle, że jakoś potem rozplynęli się we mgle. A przecież wcale nie chcieliśmy drogo! Jednak kryzys i tu się zaznaczał. Pięciu pokoi nikt teraz nie chciał. W sumie, o ironio! „Dzięki” temu wciąż byliśmy małżeństwem. Niemal małżeństwem.

Na pewno też obydwójce wstydziliśmy się tego przed dziećmi. Bo przed nimi nie dało się ukryć stęchłej, domowej atmosfery. I chyba także dlatego odwiedzały nas coraz rzadziej, chociaż twierdziły inaczej. Nasz syn, Damian, robiący karierę w stolicy prawnik, tłumaczył się brakiem czasu. Ożenił się w Warszawie, prowadził już własną kancelarię i poza świętami, to raczej tylko dzwonił. W dodatku od czasu ślubu, doszła mu druga rodzina do odwiedzin, więc częstotliwość jego wizyt znowu spadała.

Joasia przyjeżdżała znacznie częściej, ale i jej studia przecież dobiegły końca. Teraz, zaczęła pracować i też już nie miała dla nas czasu. Coraz bardziej zostawialiśmy sami, ze swoimi nawykami, uprzedzeniami, zgryzotami, problemami... Łączyły nas comiesięczne wydatki i nawet kuchnia coraz rzadziej nas zbliżała. A łóżko należało już w zasadzie do wspomnień.

W następnym roku po tamtych wakacjach, Stefan namawiał mnie na ponowny wyjazd do Pokrzywna. Tyle, że nawet nie dałem mu rozwinąć tej propozycji. Tak, jak i wczoraj na początku naszej rozmowy. Odmówiłem z miejsca. Trochę miał o to do mnie żal, bo w ogóle nie chciałem o tym rozmawiać, ani wyjawiać powodów takiej kategorycznej odmowy, jednak jakoś to przełknął. Bo musiał. Przełknął bez pytań nawet fakt, że nic wtedy nie zrobiłem podczas mojego tam pobytu. Żadnej altanki, żadnej konstrukcji, żadnego ulepszenia. Powiedziałem mu tylko, że było za gorąco i to wszystko.

A później, nie mogąc uporać się z organizacją ochrony tego miejsca, wydzierżawił całość swoich włości na lat dziesięć jakiejś kancelarii adwokackiej. Co zresztą sugerowałem mu wtedy, od razu po powrocie z Pokrzywna.

Miałem w tym własny interes. Nie chciałem, żeby tam jeździł. Nie chciałem, żeby zetknął się z kimś, kto będzie pamiętał nasz pobyt z Dorotą. Miałem nadzieję, że z czasem ludzie zapomną o nas, przestaniemy być sensacją sezonu i Stefan nie natknie się na ślady jej bytności. A ja uniknę kłopotliwych pytań.

Początkowo pamiętałem też, że to przecież Lidka była bardzo zainteresowana wynajęciem tego gospodarstwa i chciałem jej jakoś pomóc. Bo cały czas ciepło ją wspominałem. Pomagała mi do ostatniego dnia i nie zabraniała kontaktowania się ze sobą. Ale pomimo tego, że początkowo obiecywałem i jej, i sobie, iż będę o tym pamiętał i czasami się odzywał, to po czasie doszedłem do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Dorota miała rację mówiąc, kiedy żegnaliśmy się ze sobą, że nawet próba kontaktu byłaby w naszej sytuacji tylko rozdrapywaniem ran. Bo to wszystko było i minęło. Na zawsze. I już nie wróci. To se ne vrati, pane Havranek, jak dawniej mawiała jedna z moich koleżanek z firmy, którą zniszczyli nam Szwedzi.

Wtedy jednak Stefan nie był tym zainteresowany i nie podjął tematu. Uważał, że jakoś sobie poradzi. Ale się przeliczył. Praca pochłaniała mu cały czas i nie miał go kto zastąpić. Ja nie chciałem, a nikogo innego takiego nie było. Właściwie to był w sytuacji przymusowej

- Stefan, jak to dokładnie było z tą dzierżawą? – zapytałem, żeby chociaż trochę odpędzić sen od siebie.
- Przecież mówiłem ci wczoraj – Stefan najwyraźniej nie był w zbyt dobrym nastroju. – Trzeba było słuchać. Mam się powtarzać?

Faktycznie. Wczoraj rozmawialiśmy o tym długo, ale na mnie spływały wtedy wspomnienia. Nie słuchałem dokładnie tego co mówił, chociaż starałem się robić takie wrażenie. Ale teraz wołałem się do tego nie przyznawać.

- Słuchaj! Chodzi mi o szczegóły kiedy podpisywałeś umowę. Wczoraj nie mówiłeś nic o tym, albo mówiłeś, a ja nie pamiętam. Zresztą koncentrowałem się na całości, a drobiazgi mało mnie interesowały. Zapamiętałem tylko że całość wydzierżawiłeś. I fajnie. Ale teraz to się robi ważne!

- Nie trzeba było tyle pić – rzucił krótko, chociaż bez wyrzutu. To było raczej kpiące, może nawet nieco ironiczne, albo z maleńkiej zazdrości. Bo wczoraj piliśmy w sumie niewiele, chociaż ja i tak trochę więcej. On nie mógł, przecież rano miał siadać za kierownicę.

Dawniej, kiedy mieliśmy czas, to nasze spotkania przeważnie kończyły się porannym kacem. To był już swoisty ceremoniał, że kiedy spotykamy się we dwóch, to pijemy dużo. Bo nieczęsto mieliśmy okazję się widywać. Trzy, najwyżej cztery razy w ciągu roku. A piliśmy wtedy dlatego, że innych okazji obydwa prawie nie mieliśmy! Tak się jakoś wszystko poukładało w życiu, że nie mieliśmy wielu znajomych, z którymi można by było podtrzymać takie kontakty. Stefan miał jednego serdecznego kolegę, ale ten mieszkał daleko, w Poznaniu. I tylko jeszcze z nim pozwalał sobie na rzadkie, alkoholowe spotkania.

Ja z kolei, zupełnie nie miałem teraz ani ochoty, ani czasu, żeby odnowić jakieś dawne znajomości w swoim otoczeniu. Ani męskie, ani damskie. Kobiety nie interesowały mnie absolutnie, może to właśnie dlatego tak opornie mi szło z tą moją firmą, bo już nie umiałem uśmiechnąć się do sekretarek, ani nie potrafiłem błysnąć dowcipem w urzędzie skarbowym. I nawet nie próbowałem z tym walczyć, ani

czegokolwiek zmienić. Wciąż wychodziłem na gbura i chyba już nim byłem.

Niekiedy zastanawiałem się, siedząc wieczorami w swoim pokoju i w samotności zaliczając kieliszek, albo rzadziej dwa, gdzie się podziały tamte czasy. Czasy, kiedy życie mnie cieszyło i nawet nie miałem szans na to, żeby być samotnym. Kiedy byłem gwiazdą każdego spotkania, każdej imprezy, gdy dowcipami mogłem sypać przez cały dzień, a każde moje słowo było oczekiwane i niemal spijane z ust przez kolegów, a szczególnie przez koleżanki.

To se ne vrati, pane Havranek – wróciła znana fraza. Teraz pozostawało mi tylko rzadkie, samotne wypicie wieczorem paru kieliszków w domu, kiedy już ukończę pisanie kolejnego programu, sprawdzę jego działanie na symulatorze, przeanalizuje ekonomikę wykonywanych operacji i zapiszę całość w przenośnej pamięci. A wszystko ograniczane pełną świadomością tego, że rano muszę wsiadać do samochodu i pojechać, żeby uruchomić go na obrabiarce jakiegoś frezera czy też stolarza. No i te nieliczne spotkania ze Stefanem. Oraz żal, że nawet z nim nie mogę wtedy być zupełnie szczerym i o wszystkim mu opowiedzieć.

- Tomek, sam wiesz jak było – odezwał się nieco pojednawczo. – Wiesz doskonale co myślałem, kiedy mnie zaskoczyłeś odmową wyjazdu – podjął znowu przerwana rozmowę. – Ale potem pomyślałem trudno, przecież ja ci czasu nie organizuję. No i tak naprawdę to ty nie chciałeś o tym gadać.

To prawda. Nawet jemu nie opowiedziałem żadnych szczegółów pobytu w Pokrzywnie. Bo jakbym zaczął o czymś mówić, to mógłbym powiedzieć o jedno słowo za dużo. Dlatego nikt nie wiedział co się tam działo.

- Wiem, że nie chciałem, ale załóżmy, że teraz mi przeszło. No i tak myślę, że chyba jednak ja ci w niczym nie pomogę. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nic nie wiem.

- Posłuchaj! Chciałem żebyś ze mną jechał, bo może jednak coś ci się skojarzy, albo coś dostrzeżesz, albo... czy ja wiem? Czasem wystarczy nawet z kimś pogadać. Przecież jak nie pomożesz, to chyba też i nie zaszkodziś, prawda? Ja do ciebie nie będę miał żadnych pretensji, cudów nie oczekuję. A w ogóle – Stefan się zaśmiał – myślałem, że nawet sama droga jakoś milej upłynie. Myślisz, że tak dobrze jeździć samemu? Przecież pojeździłeś trochę po delegacjach, to sam doskonale o tym wiesz. A poza tym, chyba pamiętasz jak u mnie na budowie robiliśmy burzę mózgów. Zawsze po butelce trafialiśmy na właściwe rozwiązanie. I przecież nie tylko jeden raz!

Rzeczywiście, nocne Polaków rozmowy, kiedy Stefan budował dom, często kończyły się pustymi butelkami i mnóstwem gotowych pomysłów na dzień następny. To były dawne lata...

- Nie ma sprawy, drogę mogę ci umilać. Obudziłem się. Nawet mogę zaśpiewać ci teraz jakąś starą, sprośną piosenkę!

- Piosenki to ty zostaw na drogę powrotną. Teraz myśl, żebyśmy się w coś nie wpięprzyli. Ja mam obawy, że mogę zrobić coś nieodwracalnego.

- Przecież dzisiaj nie masz podpisywać żadnych papierów, prawda? Przynajmniej tak mówiłeś! Więc czego się boisz?

- Papiery papierami, ale mogą mnie w coś zrobić! – odparł Stefan. I pewnie wtedy postanowił ujawnić swoje myśli.

- Tomek, opowiem to jeszcze raz. Może jesteś dzisiaj trzeźwiejszy, więc słuchaj uważnie. Tydzień temu, zadzwonił do mnie do domu jakiś gość. Nie na komórkę, tylko na telefon stacjonarny. Przedstawił się i powiedział, że dzwoni z tej kancelarii, wiesz, z którą mam umowę. Ja mu na to, zdziwiony, że przecież umowa jeszcze nie wygasła. I on wtedy powiedział, że owszem nie wygasła, ale oni by ją chcieli zmienić. Pytam dlaczego? No bo im się tu podoba i chcieliby ją przedłużyć. Oczywiście, dadzą mi lepsze warunki. A w ogóle, to chcą się spotkać tak wstępnie i porozmawiać, również o innych propozycjach. I to nie byle gdzie się spotkać, tylko konkretnie tu na miejscu, w Pokrzywnie. I kiedy mógłbym przyjechać? To ja

zapropnowałem właśnie dzisiejszy dzień. On mi na to, że w takim razie oddzwoni w ciągu godziny, czy uda się w tym dniu zorganizować spotkanie z ich strony. No i wyobraź sobie, że już po kilkunastu minutach zadzwonił ponownie, oznajmiając, że wszystko w porządku, zgadzają się i będą czekać. Podał mi wtedy numer komórki Anny Jakiejś tam, że to niby z nią mam się kontaktować w dniu wyjazdu, najlepiej jeszcze z drogi. Ja mu z kolei podałem na wszelki wypadek swój numer i na tym to się skończyło.

- No dobrze. Spróbujmy jeszcze raz od początku podsumować to co wiemy. Ty i tak wiesz więcej, a mnie mogły jakieś fakty umknąć i o nich nie będę pamiętał. Bo ciągle nie kojarzę, w jaki sposób ty nie wiesz, kto tam realnie rządzi na miejscu! – byłem konsekwentny w swoich dociekaniach.

- No bo nie wiem! Wtedy, przed laty, zgłosił się do mnie adwokat z jakiejś warszawskiej kancelarii, dał mi projekt umowy dzierżawy i to wszystko. Powiedział, że warunki mam bardzo korzystne i że bym sam poszedł z tym projektem do mojego, dowolnego adwokata. Że oni mi nawet zwrócą koszty takich konsultacji prawnych.

- A ty poszedłeś.

- Poszedłem i skonsultowałem.

- No a jakby twój adwokat powiedział, że to umowa do dupy? To co byś zrobił?

- To przecież bym niczego nie podpisał! Ale mówiłem przecież, że poszedłem do adwokata i powiedział prawie to samo, co tamten. Że według niego, umowa jest profesjonalna, chroni prawidłowo obydwie strony, nikt ze mną w gumki nie gra, a rzeczą całkowicie normalną jest to, że niektórzy klienci nie lubią, gdy ich nazwiska figurują w jakichś umowach, więc tę rolę pełnią za nich kancelarie prawne. I że to jest korzystniej dla mnie. Miał tylko uwagi co do mojej zgody na zarządzanie posiadłością, czyli na prowadzenie prac budowlanych. Jednak, zaznaczał, że z drugiej strony inaczej się nie da, bo w załączniku wyraźnie było napisane, że to warunkuje z ich strony dzierżawę. Dlatego, że rozbudowę chcą zwiększyć komfort wypoczynku. A inwestować na krócej im się nie opłaca. Z kolei, całość obiektów po wygaśnięciu dzierżawy, automatycznie staje się moją własnością, więc i tu niczego nie tracę.

- Mnie jednak ta filantropia wydaje się podejrzana – nie kryłem sceptycyzmu.

- Dlatego właśnie chciałem, żebyś ze mną jechał. Zawsze co dwie głowy to nie jedna, jak mówił znajomy policjant, biorąc psa ze sobą.

- Ach, dzięki ci za uznanie!

- Drobiazg, wiesz, że cię lubię – roześmiał się.

- Nie pieprz tu głupot, tylko myśl. Dlaczego nie byłeś tam nigdy wcześniej? Przecież teraz nie wiesz nawet co przez te lata narobili!

- A po co miałem jechać? I kiedy? Nie musiałem myśleć o stróżowaniu w sezonie, więc nie zwracałem sobie głowy. W domu i w pracy miałem zajęć po uszy. I wiesz, że nie miałem czasu. Kasę przelewali regularnie, wprowadzie za wiele tego nie było, jednak zawsze jakieś grosze. Przecież cały mój zysk ma polegać na wzroście ogólnej wartości wszystkiego. Jeśli nawet po tych 10 latach chciałbym działkę sprzedać, to chyba nie stracę na tym.

- A jak ci rozbiorą wszystko i zostawią samą ziemię?

- Takiej opcji nie ma. Adwokat też mi to mówił. Przecież do umowy, jako jej nieodłączna część, dołączony jest wykaz budynków i obiektów, z szacunkową wyceną rzeczoznawców, opisane i sfotografowane rzeczy ruchome, wszystko zrobili na swój koszt. I mojego adwokata też zapłacili, zgodnie z obietnicami. Nie miałem żadnego powodu w to nie wierzyć i tam jechać, a zresztą ochoty też nie miałem. Bo samemu mi się nie chciało, a ty odmówiłeś. Prawdę mówiąc, to niedawno pomyślałem, że można by to wszystko sprawdzić i właściwie to planowałem wypad, tak z ciekawości. Zgodnie z umową mam prawo do bezpłatnego spędzania tam rocznie 14 dni albo 7 dni wraz z osobą towarzyszącą. Do wyboru. A więcej mi potrzeba nie było.

(cdn.)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wykrot, dodano 12.06.2012 08:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.